

Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci.

No. 13.

Leszno, dnia 1. Października 1836.



I gdy mu duszną była wysoka komnata,
Otworzył wąskie okno, patrzył czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki.

Marya, Malczeskiego.

Nie wszyscy poeci, których imiona odległa potomność ze czcią i uszanowaniem wymawia, znani byli za życia; zdarzało się nieraz, że mało cenieni, a nawet i prześladowani od współczesnych, u późniejszych dopiero pokoleń nie-

smiertelną zyskali sławę. Uległ podobnej kolei Malczeski. Zablysnął czarującą tęsknotą swęj duszy, jak mdlawy blask księżyca, i znikł w posępnych chmurach krytyki i niewiomości. Poświęcamy słów kilka cieniem poety, który za dni swoich tak był skromny i tak cichy, tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spóźnie-

mianom. Urońmy łąkę na jego grobowcu, bo wieszczę umarły jest patronem żywych.

Publiczność polska nie zna Maryi Malczeskiego. Nie rozkupiono małej liczby odbitych exemplarzy. *) Jest to smutny przykład ograniczenia lub złości recenzentów i niskiego stopnia ówczasowej krytyki, albowiem Marya Malczeskiego, mimo wielu niepoprawnych wierszy, i twardego, jak się niektórym zdaje wyśłowienia, które ja raczej za zaletę poczytuję, jest jednym z najpiękniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej.

Gdybyśmy tylko mieli Maryą i Grażynę, wyrzekł Michał Grabowski w dzienniku Ordyńca: „mielibyśmy już oryginalną literaturę.“ Ten młody krytyk powiedział prawdę. **)

Działo się to na Ukrainie, podobno za czasów Augusta III. Wojewoda, pan wielki, możny, bogaty, podniosłego serca, dumny z rodu imienia, wysłał syna za granicę. Ten, po drodze, przypadkiem, czy z umysłu, wstąpił do domu młodego, lecz poczciwego szlachcica, gdzie poznał jego córkę. Wacław był młody, Marya piękna. Pokochał ją i pojął za żonę. Panu wojewodzie nie podobały się te śluby. Raziła arystokratę wielka, jak sądził, nierówność stanu, a istotnie imienia i dostatków szczupłość: przedsięwziął zatem stargać święty węzeł; z razu łagodną namową i napominaniem ojcowskiem, a gdyby to nieskutkowało, przemocą, gwałtem. Syn jednak żadną miarą nie chciał złamać poprzysiężonej wiary. Wojewoda widząc jego stałość, rozkazał Kozakom, porwać Maryą z domu jej ojca Miecznika i w pobliskim utopić stawie.

*) To właściwie o pierwszej tylko edycji powiedziano; później, jeżeli się nie mylimy, dwa inne wydania wyszły.
P. R.

**) W kolei narodowych twórców, odznacza Marya osobne piętno, dające się wyjaśnić ze zbiegu stosunków, jakie na jej twórcę tak w czasie tworzenia, jak i przed takowym wpływały. Było to około roku 1824. Młodzi poeci i tworzący się wyobrażenia świat młody, naprzeciw szkolnicwu i zastarzałym przesądom w zaciętej zostawał walce. Bój był nierozstrzygnięty, i stronictwa ciągle się ścierały. Ślady takowej walki zastarzałych przesądów z nowemi wyobrażeniami, postrzegam w Maryi. Bujna i niepodległa myśl autora, kształcąca wielką i pierwotną budowę, uległa tu i owdzie już przestarzałej manierze, już wyraźnemu wpływowi obczyzny. Obie te cechy płynęły w części z powszechnych podówczas wyobrażeń, jakimi myśl autora od lat dziecińczych przesiąkała, w części zaś ze szczególnych stosunków i położenia Malczeskiego, znajdującego aż nadto może Europę i jej poetyckie twory. Marya pod względem wiersza, przypomina często klasyczne tirady; co do barw pojedynczych, widać tu w najpiękniejszym zbiorze kwiatów narodowych, niektóre z pod obcego gwałtem sprowadzone nieba, które acz piękne w sobie, wszelako całości pomysłu uszczerbek przynoszą. Porównałbym ją pod względem narodowości do olbrzyma, który dzielnemu pokoleniu przywodząc, sam w niepoczesnych walkach lekkie podnosił skazy. Takie o Maryi zdanie wynurzył jej wydawca lwowski w roku 1835, w przedmowie.
P. R.

Ta jest osnowa powieści Malczeskiego. Poetycki obraz dziwnego zdarzenia! Konturowy zarys, głęboko pomysłany, prosty, jak na biegłego artystę przystoi. Wykonanie tego planu śmiałe. Każdy zaś domyślić się może, że przez wykonanie poematu, nie rozumiem wierszy gładkich i potocznych.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze! Z jak właściwem godłem z Jana Kochanowskiego, zagał początek pierwszej pieśni:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie,
A koby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście wszystko się w tej powieści splątało w gmatwaninę nieszczęścia, nigdy nie odmotaną. Rzecz prosta i zawiła, naturalna i okropna, powszednia i głęboka jak przepaść. Nie tak czyn krwawy, jako przygotowania mordercy wzbudzają zgrozę, kiedy przed rozpoczęciem dzieła w skrytości myśli, układa zabójstwo, potajemnie, milczkiem, z tyłu godząc. Daleki zamach ledwo nie strasniejszy od samego uderzenia. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do tego ścieżki, manowce, sieją postrach. Wikła się myśl ludzka w tym labiryncie. Natenczas złowieszce przecucie przejmuje duszę naszą. To czajenie się, uprzedzające skutek, jest nakształt mroku, jest jako ciemna strona fantazyi. Jakaś opona, kir czarny, zalega wtedy przestrzeń niezmierną między daleką chęcią, zawartą jeszcze w sercu, a jej dopełnieniem; między wyściąganiem ręki i zadaniem ostatniego śmiertelnego ciosu. Północna godzina Shakespeara. Rodzicielka wielkich, tragicznych wrażeń. W tym mroku imaginacyi, za tą mglistą zasłoną fantazyi, pojął Malczeski rzecz swego poematu. Nie biorieram krytycznie, *) kreślę tylko, co mi najprzód na myśl przychodzi.

Tajemnica osłania zamiary Wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie; umyślnie poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. „Tam „jego myśl ukryta samotnie się żarzy. Była noc: „nie spał, chodził w jej ciemnościach. Duszna, „wysoka komnata!“ Łatwo zgadnąć dla czego! Otwiera okno, patrzy na swoje hułce rozwinięte, znaki, co się do nakazanej wyprawy zbierały. Rozwidniło się nad rankiem; słuchał budzącej trąby.

Pryskają rączę konie, brzęczą w ruchu broje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli,
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszém spojrzeniem
W lśnącej stali swe wdzięki postrzeżga z zdziwieniem.

*) Uczynił to już znakomity pisarz w znaném uczoneму światu z głębszej krytyki i rozleglejszych o poezyi pomysłow, dziełku: o literaturze polskiej roku 1830, do którego odczytamy ciekawych czytelników.
P. R.

Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
 Dmucha na włosy dziewic i piora rycerzy;
 Dla nich gwar małych ptaszek w żywej słodkiej nocy.
 Co z mokrych rosą dziobków wyrwa uczucie. . .
 Nie dla niego — on niechciał na widoku zostać.
 W nikuących cieniach zamku zanurzył swą postać
 Jak te straszące mary, które boją się nasza
 Wodzi w bezsenną noc — poranek rozprasza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Peregrynacja do Ziemi Śtój.

Nazajutrz 1go Czerwca najałem okręt wielki (zowią go w tej stronie karamuzan) patrona miał Arabczyka chrześcianina. O czém, gdy się onego miejsca turecki starosta (zowią go kaddy) dowiedział, za powodem Greczyna jednego, który się był przed lat kilka na muzułmańską wiarę obrzezał, żagle i liny okrętowe zaraz nam pobrał, abyśmy nie odjechali, czego mu nie dawszy. Bo Turcy w tym kraju często sobie do życia ratunki zbierają z potwarzy chrześcian i łupieztwa. A tak tego Greczyna zdrając, gdy do okrętu naszego przyszedł, ludzko i przyjacielsko przyjęliśmy, i niecośmy mu darowali, który u kaddego, to, co nam było wzięto, ze zwrócono, otrzymał. Godziny wtórej w noc wsiedliśmy na nasz karamuzan i ku ziemi świętej obróciliśmy. Skorośmy wieżę, która nad portem jest do Jopy, obaczyli, wiatr africus gwałtownie począł się silić, do brzegu nas nie dopuścił, żagle podrapał, powrozy potargał. A gdy rządca okrętu nie wiedząc rady, do Cypru się wrócić myślił, i mówił, że jeślibyśmy podwyższyli fory, mogłoby się takim wiatrem bezpiecznie do Trypolu zajechać. Kędy my bacząc wątpliwego onego patrona, podwyższyliśmy mu aż do sta złotych. Podniósłszy tedy żagle, jechaliśmy wiatrem sporem: minęliśmy Tyr i Sydon, miasta w pięknej równinie leżące, na 4 mile polskie jedno od drugiego odległe. Ztamtąd 10 mil tylko od Trypolu do Berytu i Anefy miast, gdzie się góra Libanon podnosi. Leżą te miasta w Syrii; mało nie wszyscy tam chrześcianie mieszkają. Druzyanami je zowią; wolno im, nakształt Turków, w białych zawojach chodzić. Poszli z onych Francuzów i ostatki ich są, którzy byli ziemię obiecaną Saracenom odjęli, ale tak życie i sprawy ich złe są, iż od pogan gorsi, że więcej o nich pisać, uszom cnym folgując, nie chcę.

Gdysmy 60 mil ujechali wiatrem złym, niepogodnym i gwałtownym, wbiegliśmy do portu Trypolu, kędy przecie kotwice zrzuciwszy, niezostalibyśmy się byli, by byli Turcy z okrętu alexandryjskiego wysiadłszy, w bacie wielkim na ratunek nam nie przybiegli. Na brzeg wysiadłszy, szliśmy pół mili do miasta: jest w miejscu wesołem; połowica go ku górze Idzie; ogrodami pięknymi okrażone; źródła ma częste; powietrze, zwłaszcza lecie, nie bardzo zdrowe. Co było

widzenia godne w tem mieście, tośmy wszystko pilno oglądowali. Tamtęjszy Semir, który jest nad ciami, wzięwszy od nas podarek, dał nam dla obrony Janczarów dwóch pieszych i dwóch konnych, i półtoręj mili uszedłszy, na polu, pod Libanem *) nocowaliśmy. Rano, w drodze, nie daleko gościńca, widzieliśmy drzewa cedrowego dwadzieścia cztery, którego nie rąbią, bo go więcej w tym kraju nie masz. Jest drzewo dosyć piękne i dosyć wysokie, rozłożyste ma gałęzie, podobne temu, które Polacy zowią modrzewiem. Wierzchem góry Libanu, kędy śniegi nigdy nie giną, acz daleko większe są gorąca niż we Włoszech, przyszlśmy do miasta Balbech, gdzie król Salomon zbudował był pałac, gdy królownę Egipską, córkę Faraonową, pojmował (3. Reg. 7). Autorowie późniejsi, różnie o tém mieszkaniu piszą: ja to za pewną rzecz twierdę, czemum się bardzo pilnie przypatrzył, że ten pałac właśnie tak w księgach królewskich opisują, jak go teraz widzimy w Balbechu, czego łatwo dojdzie, ponieważ nie z fundamentu rozwalony, ale dawnością zepsowany, półkąsku upada i wali się.

*) Dzisiejszy obrazek przedstawia nam łańcuch majestatycznej góry Libanu, którego sława, tak jest dawną, jak pismo święte. Jest to najwyższy gór grzbiet w Syrii (9600 stóp), stanowiący północną granicę Palestyny, ciągnący się wzdłuż morza; za Libanem równoległe, od północy na południe, ciągnie się podobny ale trochę niższy gór łańcuch, Antilibanon zwany; środek zaś romantyczna zajmuje dolina.

Widok gór Libanu zdjęty z przylądka, na którym leży najznaczniejsze miasto w Syrii Bajruth (dawne Berythus) żkąd znaczna przestrzeń morza, i cały Libanon przejeźdź można, u stóp jego rosną drzewa morwowe (jedwab z tych okolic sławny) i trochę wina. Wyżej zaś widać nagie i porozdzielane skały, przepłatanie roskoszne dolinami, na których udają się wybornie; Wino, owoc drzewa oliwne i t. d. Potoki, z gór spadające, w różnych kierunkach płyną. Z owych tak sławnych cedrowych lasów, używanych przez Fenicyków na budowlą okrętów, został tylko gaj mały, stojący u stóp góry, w głębokiej dolinie; liczy on tylko 200 drzew; z tych niektóre mają do 15 stóp średnicy i zapewne do 1000 lat liczą.

Miasto Bajruth wznosi się na pagórku, schylającym się ku morzu; tu i owdzie zaś wysunięte skały, opierają się lukliwym morza bałwanom; Turcy użyli ich za twierdze; dalej roskoszne gaiki, laski oliwkowego drzewa. Spojrzałem na morze, mówi Lamartine i na błyszczący grzbiet okrążający Bajruth. Nigdy jeszcze widok gór, nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Są to Alpy pod azyatykiem niebem, kryjące swe niebotyczne wierzchołki w pogodzie odwiecznej światłości. Zdaje się, że słońce spoczywa wiecznie na złoconych kątach tych grzbietów; białosc rażąca słońca wyrównywa białosci śniegów, które tam najwyższe wierzchołki aż do połowy lata okrywają. Na trzydzieści mil długości przedstawia się oku ten łańcuch od przylądka Saidy, starożytnego Sydonu, aż do okolic Latakii.

Raz dumny Liban wznosi się prawie prostopadle nad morzem ze swemi wioskami, ogromnemi klastorami, zawieszonemi nad przepaścią, to znowu odala się od brzegu, tworząc ogromne zatoki, lub zielone błonia, albo też żółtych piasków płaszczyny; liczne żagle przerzynały te zatoki, zmierzając do brzegów. Morze jest tam zupełnie niebieskie i pospępane.



Libanon i brzegi Syrii.

Idąc z góry, przeszliśmy chróścinę pagórka, który Antilibanem zowią, kędy się Celem-syrya poczyna. Jańczarowie i Turcy, których końmi jechaliśmy do Jeruzalem, z okolicznych wsi najęli za pieniądze nasze do 40. Arabów Maronitów, z łukami, dla niebezpieczeństwa od Arabów Saracenów; gdyż dniem przed nami kupce byli Tureckie rozbili i 15.; z nich zamordowali, co się tu często trafia. Arabowie, którzy białych chorągwi używają, mało nie zawsze rozbojem się w swojej ziemi, w Egipcie, w ziemi s., bawią. Jest ich przecie w Gallilei nieco, którzy wielkie trzody owiec i wielbłądy chowają, pod namioty mieszkają, pastwisk dobrych i wód zdrowych szukając. Gdy im w innem miejscu nie stawa pastwisk, żony i dzieci na wielbłądy wsadziwszy, owce pędzą dalej: potkaliśmy ich dwie kupie wielkie w Gallilei u góry Tabor. Ale Arabowie Chrześciance, we wsiach mieszkają, ogrodów pilnują, tak na górze Libanie jak w Syrii, osobliwie w Damaszku i Ziemi S., acz nie tak gęsto.

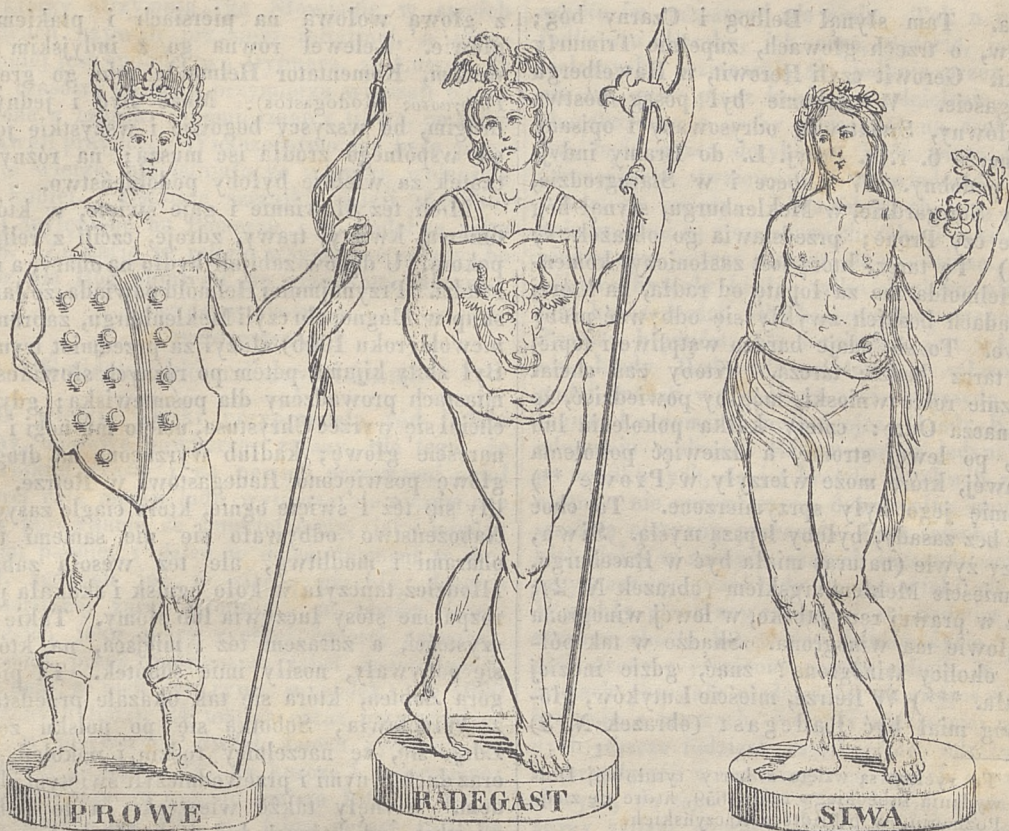
Wyjehawszy z Balbechu, iż ani gospód, ani karczmy nie było, musieliśmy w polu nocować, nie bez wielkiego niebezpieczeństwa, któremu jednak Jańczarowie nasi znaleźli radę prędką. Bo obaczywszy, ono Turczyn jeden mając koło siebie kilkadziesiąt żołnierza, z któremi na wojnę perską jechał, na témże polu pod namiotem stanął, kędy i nam było przyszło nocować. Kazali się nam między bliskie pagórki skryć, sami do Turczyzna

jechali i powiedzieli, że ubogie niektóre pielgrzymy z daleka idące prowadzili; prosili, żeby się nam godziło w témże polu stać i nocować, kędy się on położył. Co, iż Turcy w powierzchném miłosierdziu się kochają, nie trudno u niego otrzymali. Nie daleko tedy, za tém dozwoleciem, stanęliśmy. Albowiem, przedtém ile Turków nas spotykało, zawsze odierać nas chcieli: a ilekroć ich cesarz na wojnę posłał, tąż wolnością, którą i Czauzowie mają, konie i coby im się podobało, wszędy bez karania brać i przywłaszczać im wolno. Drugiej nocy przyszliśmy do Tykiejum, szpitala tureckiego, który acz nie tak ozdobnie jest wymurowany, ale bogato i dostatecznie nadany od jednego Damascen-skiego baszy. Tam widziałem, jak jeden Turczyn, mając pięć ptaszków zielonych, po jednemu wolno puszczał, oraz coś mamrocząc. A gdy się przez tłumacza przyczyny postępku jego dowiadował, odpowiedział, że to czyni za duszę rodziców zmarłych, wierząc, iż tym uczynkiem nieco im dopomoże.

× Uwagi o Słowianach.

(Dalszy ciąg.)

Słowianie mieli swoją religią, która w różnych okolicach różnej była postaci. Wiele bogów można znaleźć po xiążkach, ale tak są pokręceni przez religijne wyobrażenia autorów, tak



pomieszani z Bogami innych Ludów i między sobą, że z tego mało co rozumnego złożyć można. Co do głównej zasady zdaje się, że wierzyli w jednego Boga, pod którym stały dwa bóstwa; jedno miało w swęj władzy wszystko dobre, białe, a drugie wszystko złe, czarne. Wierzyli pewnie i w nieśmiertelność: bogini Marzanna rządziła wiosną i śmiercią; więc śmierć mogła być początkiem innego życia. Nasz wyraz nieboszczyk po czesku nabožnik, jako czysto słowiański, zdaje się mieć wagę: według wyobrażeń chrześcijańskich dusza umarłego może iść do nieba, ale też i do piekła — dawniej przyjmowano powszechnie i czyścić. Mówić zapewne, że kto szedł do nieba, było grzechem wynikającym ze zbytelnego zaufania w zbawienie. Nieboszczyk znaczy takiego, który umarł, a wyraz ten pochodzi od nieba, więc który poszedł i do nieba. Ponieważ taki wyraz niegodny z chrześcijaństwem, więc pewnie przedchrześcijański. Gdyby zaś to, że jest przedchrześcijański, było zupełnie dowiedzione, aniby się niegodziło wątpić, że przodkowie nasi, przed przyjęciem nauki Chrystusa, wierzyli w nieśmiertelność. Nad Wartą podają historycy bóstwo Jesse, takiego boga, co jest, co tworzy (natura naturans); Nia miało znaczyć boginią, która znosi, niszczy. Były bóstwa Lel Po-lel, Swist Po-Swist, Marzanna, Dziewanna, Dziedzilia i t. d. ale te bóstwa opisywane pogardliwie ośm wie-



Radegas.

ków przez historyków, samych prawie biskupów, nie mają dobrej cechy i są do niczego niepodobne. Nad dolną Odrą weszło chrześcijaństwo później, dopiero za czasów naszego Krzywoustego. Otto Ś., Biskup Bamberski, który te strony zaczął nawracać, zabierał bogów i do Rzymu posesłał, jako trofea zwycięstwa. Autorowie sascy, którzy o Słowianach stanowią źródło historyczne, jako sąsiedzi, najlepiej znali tamte okolice. Ztąd religia w tych stronach najlepiej opisana, wygląda poetycznie, jest bardzo uroz-

maiconą. Tam sływał Belbog i Czarny bóg; Trygław, o trzech głowach, zupełnie Trimurły indyjski. Gerowit czyli Herowit, w Hawelbergu i Wolgascie. W Arkonie był posąg bóstwa czterogłówny, Swiatowit, odrysowany i opisany w Numerze 6. r. b. Przyj. L. do Bramy indyjskiego podobny. W Lubece i w Starogrodzie, czyli w Stargardzie, w Meklenburgu, sływał bóg Prowe czy Prone; przedstawia go obrazek *) (Nr. 1.) Tę tarcz, którą jest zasłonięty, komentator Helmolda ma za łopatę od radła, na której przy sądach boskich zwykły się odbywać próby ogniowe. To się zdaje bardzo wątpliwe i tepiej niech tarcz będzie tarczą. Ktoby zaś chciał koniecznie robić wnioski, mógłby powiedzieć, że pas oznacza Odrę: cztery kółka pokolenia lub miasta, po lewej stronie, a dziewięć pokolenia po prawej, które może wierzyły w Prowe **) i w imię jego były sprzymierzone. To choć również bez zasady, byłoby lepszą myślą. Siwa, Siba czy żywie (natura) miała być w Ranceburgu, także mieście Meklenburgkiem (obrazek N. 2); trzyma w prawej ręce jabłko, w lewej winogrona i na głowie ma winogrona. Skądże w tak północnej okolicy winogrona? znać, gdzie indziej powstała. ***) W Retrze, mieście Lutyków, główny bóg miał być Radegast (obrazek N. 3)

*) Te ryciny są wzięte z karty tytułowej Helmolda, wydania lubeckiego roku 1659, które się znajduje w Poznaniu, w bibliotece Raczyńskich.

**) Prowe, bożek Wendów i północnych Słowian, czczony jak mądry, ale oraz surowy i straszliwy sędzia. Był bogiem sprawiedliwości, trzymał w ręku tarcz żelazną (podług innych radło), którą w wątpliwych przypadkach rozpaloną, do prób ogniowych brano. Posąg jego miedziany wystawiał podoszętego wieku męża w długiej sukni, z kajdanami około szyi, w ręku nóż ofiarny. W Starogrodzie szczególniej cześć jego była powszechna; miał tam świątynię, gdzie liczne składano ofiary; przy nim był gaj poświęcony, w bliskości którego co poniedziałek lud się zgromadzał, ale nikomu nie wolno było wchodzić do gaju pod karą śmierci. Dla nabrania mężawa, pili krew z ofiar pływającą, a potem radzili się bożka; on dawał wyroki w sprawach wątpliwych, on radził, co czynić wypada, a nikt nie śmiał sprzeciwić się jego woli. Dawnemi czasy zabijano mu na ofiarę zwierzęta, później nawet pojmanyh jeńców, zwłaszcza chrześcian. Kaptan i kronikarz Helmold przybył z biskupem Geroldem do Starogrodu i zaczął nawracanie swoje od spalenia świętego gaju. Zamiast ujęcia ludu łagodnością i miłością, dowiódł, że jemu samemu tych dwóch cnót chrześciańskich brakowało, a jediał od tamtejszych mieszkańców nie był zabity; zwolna lud opuszczał bałwochwalstwo i przyjmował świętą prawdę ewangelji. Ze i tutaj kaptani o sobie pamiętali, widać z starożytnych kronikarzy, którzy piszą; lubo pod karą śmierci zakazano było wchodzić do świętego gaju, jednak w piątek, niewiastom, dzieciom i czeladzi, przynoszącym ofiary, przystęp był dozwolony; poczem wyprawiano ucztę i tańczono aż do późnej nocy.

Tenże Prowe i pod inną postacią miał być czczony; posąg nagi, bez odzienia, na słupie stojący w botach, u nog leżał dzwonek, w ręku trzymał tarcz i laske, miał uszy długie i koronę na głowie (z kroniki Balthusa), P. R.

***) Siwa, bogini miłości, zaślubiona bożkowi Siebog, opiekunowi małżeństw. Wystawiano ją sobie

z głową wołową na piersiach i ptakiem na głowie. Leleweł równa go z indyjskim Szivenem, Komentator Helmolda robi go greckim *Ροδογαστος* (Rodogastos). Może być i jednym i drugim, bo wszyscy bogowie i wszystkie języki od wspólnego źródła iść muszą; na różny początek za wielkie byłoby podobieństwo.

Mieli też Słowianie i gaje święte, w których drzewa, kwiaty, trawy, zdroje, czcili z religijną pokorą. U dębów zabijali bydło na ofiary, a może i ludzi. Przynajmniej Helmold powiada, że Jan Biskup w Magnopolu czyli Meklenburgu, zabrany do niewoli (roku 1066) służył za przedmiot tryumfu. Był zбиты kijami, potem po różnych słowiańskich miastach prowadzony dla pośmiewiska; gdy nie chciał się wyrzec Chrystusa, ucięto mu nogi i ręce, nareście głowę; kadłub wyrzucono na drogę, a głowę poświęcono Radegastowi w Retrze. Pałiły się też i święte ognie, które ciągle zasycano. Nabożeństwo odbywało się nie samymi tylko ofiarami i modlitwą, ale też wesołą zabawą. Młodzież tańczyła w koło ognisk i skakała przez rozpalone stósy łączywia lub słomy. Takie uroczystości, a zarazem też i miejsca, na których się odbywały, nosiły imię sobótek. Ta piękna góra Zobten, która się tak okazała przedstawia w Wrocławiu, Sobotką się po polsku zowie. Zdaje się, że naczelnicy rodzim i pokoleń, byli oraz duchownymi i przewodniczyli świętym obrzędom. Słyneły także wieszczki, a te kobiety wiejskie, od których lud w przygodach zasięga rady, i które się mądrymi zowią, pewnie jeszcze z owych czasów datują przywilęj na swoją mądrość. Te garnuszki, w kształcie lampy pod kamieniami, na wzgórkach żalami zwanych, niewątpliwie słowiańskiego ludu zawierają popioły.

jak o cud piękności; malarze i snycerze ubiegali się na wysięgi w oddaniu jej wdzięków; wzór, o ile ich usiłowania ponysłnym zostały uwiecznione skutkiem, wystawia nam obrazek, którego autentyczność zaręcza Hagenor w opisie kamieni runicznych, znajdujących się w xiążęcej bibliotece w Neustrelitz, z których został zdjęty i przez połowę tylko zmniejszony. Zjad można powziąć wyobrażenie o sztuce rzeźbiarskiej u dawnych Słowian i w ogóle narodów północnych, a oraz jak wszelkie wyobrażenia ich bożków, przez późniejszą artystów, podług opisów mnichów, częstokroć dowolnie, na wzór mytologii rzymskiej, tworzone, dalekiem są od prawdy; Przekonamy się o tem później z wyobrażeń innych bożków, n.p. emuka. Z tej przyczyny daliśmy także inny, a bez wątpienia lepiej trafiony obrazek Radegasta, podobniejszego raczej do niedźwiedzia niż do człowieka.

Nie od rzeczy tu będzie wspomnieć o tém samém bóstwie, czczonem w Morawii pod nazwiskiem Krasopani, czyli Krasna pani, także bogini miłości, która w Ołomuńcu i w Brünn miała świątynię; z tych ostatnia w Brünn, stała na górze, w tém samém miejscu, gdzie dziś tum się wznosi; „Tam to Krasnapani stała na wozie ciągniętym od gołębi lub łabędzi; miała być naga w najpiękniejszych kształtach, oczy palące miłością, z usi uśmiechających się róża wykwiata, włosy spadały niedbale w tył aż po kolana, a głowa ozdobiona wieniecem nitowym z różami; jej ciało bielsze od śniegu. Z lewej piersi, przez którą aż do serca zajrzeć było można, wytryskał ognisty

są, którzy utrzymują, że Słowianie w swoich sprawach używali przysięgi religijnej, a przynajmniej jest świadectwo Dytmara, że Lutycy, za jego czasów, na znak przymierza wręczali włosy zgolone z czaszki i pomieszane z trawą, po czém podawali prawice. Wieloleźstwo nie było przeciwne wierze, ale istniało ze wszelką wolnością dla kobiet. Ostatnie szczątki religii słowiańskiej wytepiono na Pomorzu i to podobno roku 1123. Ze czcią tę religią wspominać należy, bo przez nią Bóg objawiał się przodkom naszym.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Śmiertelność między ludźmi.

O wielkie klęski przyprowadzają ród ludzki wojny, morowe powietrza, zarazy, dla tego, że w krótkim czasie i na pewnej przestrzeni aniół śmierci całe masy ludu wytepia; ale niczém one są w porównaniu ze śmiertelnością, jaka między ludźmi panuje, i dzień w dzień, moment w moment, jednych już w ziemię grzebie, drugich w pierwszój zaraz młodości, w samém nawet poczęciu, jako ofiary rychłej śmierci naznacza. Hufeland przez porównanie tabel śmiertelności, taki nam z nich wykrywa wypadek: Z 1000 urodzonych ludzi, 24 umiera zaraz przy urodzeniu; w pierwszych dwóch latach życia umiera 50 dzieci na zębę, 277 na kurcze i konwulsye; na krosty różnego rodzaju umiera 100, na połogi 8, na suchoty 190, na febry gorące 150, na puchliny 41, paraliżem tkniętych 12. Pozostaje zatem z 1000 ludzi, nie rachując w to śmierci przypadkowych i samobójstw, 78 osób, co naturalną śmiercią umierają; czyli przez przybliżenie $\frac{1}{10}$ części całego doczekuje się naturalnego rozwiązania życia.

Ludzie żyjący sposobem natury, jakich po dzień natrafiamy jeszcze na wyspach morza południowego, mało co, albo całe nie znają chorób; gdy tymczasem w ucywilizowanym, a zatem w świecie od natury oddalonym, liczba ich do przerażającej wielkości urosła. Jakby wojsko jakie na pulki i rotę, dzieła teoretycy lekarze chorób tysiące na gatunki i rodzaje. Zbytek, wyuzdana rozwioźłość, wyszukany a nienaturalny sposób życia, postępowania i wychowania, w połączeniu z klimatycznymi i miejscowymi wpływami, utworzyły kombinacye chorób, jakich świat dawny nie znał, a terażniejszy po-

promień: w prawej ręce trzymała trzy złote jabłka, w lewej kulę świata, na której słońce, księżyc, gwiazdy, morza, odrysowane były. Za boginią stały trzy nagie dziewczęta z rozpuszczonymi włosami, podające sobie złote jabłka, oczywście gracye starożytnych. Cały ten opis wylągał się zapewne w głowie uczonego i ze starożytnością obeznanego pisarza (Tkani), ponieważ utworzyć taką piękność, chyba sam Fidyasz lub Apelles był w stanie, a tych Słowianie nie mieli. Nagie postaci pod łagodnym tylko niebem powstać mogły, ale nie na północy, gdzie ostre klima, (a nawet już i sam wstyd) ciała ludzkie, a zatem i boskie, okrywać nam każe, i załamać od soty.

P. R.

czątku im naznaczyć nie umie. Tak n. p. najzjadliwsze choroby, jak ospa, pytocie, jad chuci cielesnych, rozmnażają się jedynie przez zarażenie się, czyli przez konieczne udzielenie się jadu chorobowego z osoby zarażonej na osobę zdrową, bądź przez dotykanie, bądź przez bliskość zarażających wyziewów, i niewiadomo z kąd się właściwie wzięły. Złota febra, cholera, gryppa, najnowszymi są zjawiskami chorób, o jakich przed niedawnym jeszcze czasem nie wiedziano. Samobójstwa bywały kiedyś tylko skutkiem albo smutnej konieczności, albo heroicznego postanowienia. Zawsze błędnem, ale wzniosłem jest wyobrażenie, kiedy Tarkwinia sztyletem w własną pierś godzi, mażąc wyrządzoną sobie krzywdę wywołaniem ku pomście męża i ojca; kiedy Kato, po zdeptaniu wolności Rzymu przez jedynowładcę po upadku tych, co jej bronili, w chwili żadnego ratunku nie przynoszącej, dobrowolną śmierć nad sromotę ojczyzny przenosi. Lecz samobójstw takich, jakie w naszych czasach śmiertelności liczby przysparzają, przykładu dawne wieki nie miały. Wyschły przez zawczasie i w nadmiar rozpuszczone chucie kszotowny balsam życia, z drugiej strony wyrwócone zasady religii, a na ich gruzach powstałe niedojrzałe, chwiejące się wyobrażenia o rzeczach, wylęły najczęściej w młodych jeszcze ludziach zniechęcenie, odrzę życia i obrzydzenie wszystkiego, co innych cieszy, zachwyca, do tego życia przywiązuje, i wznieciły nowy rodzaj choroby, która się nie skonaniem, lecz samobójstwem kończy.

Udoskonalony stan towarzyski, jego rozmnożone stosunki i potrzeby, musiały koniecznie większą zrodzić śmiertelność, już to przez pomnożenie niebezpieczeństw, na jakie się ludzie narażają, już przez wynalezienie zabójczych środków ku odebraniu sobie lub drugim życia. Kiedy dawniej tylko garstka przedsiębiorczych kupców puszczała się za handlem na przestwór morza, dziś okręty, jakby włóci zaludnione, po wszystkich pływają morzach, grożących w każdej chwili pochłonać statek, któremu człowiek swoje życie powierzył. Chemia wynalazła proch, sztućka lekarska różne gatunki trucizn, już od razu, już zwolna zabijających; i tych to broni użyła niedoleźność i złość ludzka na ukrócenie życia, które albo sobie samemu było ciężarem, albo dla drugich postrachem lub zawadą.

Zgroza przejmuje na widok śmiertelności między niewolnikami, których handel teraz dopiero ograniczanym być zaczyna. Wiadomo z artykułu tego pisma Nr. 33. roku I. jak wielka bywa śmiertelność skupionych Negrów na okrętach, nim ich na miejsca przeznaczenia dowiożą; tu zaś wymiera ich rok rocznie piąta lub szósta część, już z uciemienia, już z tęsknoty do kraju i rodziny. Tylko grassujące morowe powietrze podobne wywiera spustoszenia. Na równie wysoki stopień śmiertelności natrafiamy w domach podrzutków. W zamiarach najzabawniejszych

szlachetne dusze nadały im początek; w wdzięcznej pamięci jest u ziomków naszych Boduin, założyciel domu Dzieciątka Jezus w Warszawie; a przecież instytutu podobne są to otwarte groby, pochłaniające niemowlęta i dzieci. Z 7000 podrzutków, które do instytutu w Paryżu przyjęto, po 10 latach, wychowało się tylko 180, a 6820 wymarło; a zatem ze 40, jedno tylko żyjące opuszcza instytut. Hufeland tak się w tej materii wyraża: „Nie znam żadnej zarazy, żadnej „z plag, jakimi ludzkość kiedykolwiek dotknięta „została, któraby osiągała taki stopień śmiertelności, jaki w domach podrzutków się pokazuje. „Trzeba było na to przesilenia się cywilizacji; „trzeba było zupełnie zaślepionej politycznej „rachuby, aby udowodnić, że rząd jest najlepszą „matką; że dla pomnożenia ludności, nie potrzeba, „jak ogłoszenia rodzących się dzieci za jego „własność i założenia otcłani ku ich pochłonięciu. Okropne skutki tego nienaturalnego „macierzyństwa, teraz dopiero się wykryły. Wywrócono podwaliny towarzyskiego bytu, któremi są małżeństwo i miłość macierzyńska, a „natura pomściła się straszliwie zdeptania praw „swych najświętszych.“

(Koniec nastąpi.)

Odezwa Jana III. do wojska przed bitwą pod murami Wiednia. *)

„Rycerze! Tam na dole **) wielka jest liczba wrogów naszych, jako pod owym Chocimem, gdzieśmy ich potężnie zgromili. Wy ich znacie rycerze, znacie ze zwycięstwa. Dzisiaj na obcej wprawdzie walczyć ziemie, ale i tu za własną ojczyznę, bo pod murami Wiednia strzeżecie razem i naszej ukochanej Polski; bo dzisiaj nie jedno miasto, ale całe zbawiacie Chrześcijaństwo. Święty bój toczycie rycerze; bój, w którym samo usiłowanie jest chlubą, a mężnie poległym niebios gotuje koronę. Rycerze! nie za króla waszego, ale za samego Boga walczyć. Tęgo to wszechmocność wprowadziła was na te bezdrżne góry, i bez walki połowę dała zwycięstwa! Już nad głowami swojemi widzą was dumni niewiercy, na sam wasz widok kryją się po wąwozach i lasach, — przyszłych swych grobach.

*) Z powszechnego pamiętnika Nauk i Umiejętności zeszytu I. 1835.

**) Turcy ufnli w siły swoje, rozłożyli się u podnóżu góry Kalembergu o pół mili od Wiednia, nie osadziwszy panujących nad sobą szczytów gór Ś. Józefa i Ś. Leopolda, które bez oporu przez wojska od sieczne zajęte zostały.

Rycerze! jeden tylko mam dla was rozkaz; król wasz przewodniczyć wam będzie; gdzie go ujrzyście, idźcie żywo i odważnie.“ Odezwę tę króla Jana przytaczają pisarze niemieccy już w niemieckim, już w łacińskim języku. Z tego to względu, i że zwycięstwo pod Wiedniem (1683 roku) nie tak odległych sięga wieków, nie należy zapewne do krasomówskich ozdób historyków, którzy własne myśli i wyrazy w usta wojowników swoich wkładają; lecz jest prawdziwym wyrazem odwagi, bogobojności, i zaufania wodza w wojsku, któremi sam zagrzany, rycerzy swoich do boju zagrzewał. Zwięzła, krótka, dobitna, przemawiająca do serca żołnierza i Polaka, warta być umieszczoną obok wojennych odez w pierwszych wojowników najnowszych czasów.

Pamiętka wojen szwedzkich w Rydze.

Na początku 17go wieku Polacy i Szwedzi wiedli krwawą wojnę o posiadanie Rygi. Nieszczęśliwe Inflanty, wyrwane z rąk do rąk, nie wiedziały kto ich panem. Wszędzie tylko widać było zgłiszcza domów, ruiny zamków, stretowane niwy ze zbożem, pokaleczonych lub odartych mieszkańców. Do tych klęsk przyłączyły się jeszcze: głód trwający od 1601 do 1604 roku, kiedy z przyczyny dżdżystego lata i ostrzej zimy, wszystkie zasiewy zginęły, i mór, który całe wsie i parafie wyludniał. W tych okolicznościach, mnogie tysiące nieszczęśliwych Infantczyków szukały przytułku w Rydze. Magistrat miasta dał im schronienie przy ówczesnym szpitalu Ś. Jerzego, niedaleko kościoła Ś. Gertrudy. Na górze zwaną Kubsberg, między bramami sandzka i jakubowska, codziennie dawano żywność przybyłcom i opatrywano chorych. To wspieranie nieszczęśliwych, zachowało się w pamięci Infantczyków aż do naszych czasów i dało powód do obchodu narodowego w Rydze, znanego pod imieniem Hungerkammer, który corocznie w jesieni odbywa się. Na placu między miastem i przedmieściem, otoczonym alejami, zwanem pole marsowe, nie daleko od byłej góry kubskiej, wznoszą się szafasy pełne pokarmów i obok nich góry owoców. Uroczystość zaczyna się 3 razy, co dwa tygodnie, w poniedziałek. Czas jej w nocy z poniedziałku na wtorek, przy świetle pochodni. Ogród Wernański, przytykający do tego placu, oświetlany w ówczas bywa z przepychem w różnobarbne lampy; muzyka brzmi; wszędy rozlegają się pieńia; lud wszelkiego stanu, pici i wieku napełnia ulice ogrodu. Uroczystość ta jest razem jarmarkiem owocowym.

Wszelkie artykuły, odpowiadające celowi pisma naszego, które redakcyja w jak najprędzszym czasie umieścić nie omieszka, mogą być nadsyłane wprost do Wydawcy Przyjaciela Ludu, Ernesta Günthera, w Lesznie; lub też, co dla miejsc odleglejszych, Krakowa i Galicyi, dogodniejszym być się zdaje, przez najbliższe księgarnie galicyjskie: a te zechcą jak najspieszniej drogą księgarską przesłać je Wydawcy.